

Marzena Woźniak-Łabieniec
(Uniwersytet Łódzki)

Cenzura w okresie odwilży jako temat tabu

Już na odprawie kierowników Wojewódzkich Urzędów Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk w styczniu 1946 zwrócono uwagę na konieczność starań o zachowanie autorytetu cenzora i całego Urzędu¹. Jedną z metod realizacji tego postulatu było usuwanie z wszelkich publikacji wzmianek nie tylko o działaniu GUKPPiW, ale nawet o jego istnieniu. Ukrywanie istnienia cenzury wynikało jednak przede wszystkim z polityki państwa chcącego zachować pozory demokracji. Sytuacja ta utrzymywała się konsekwentnie przez pierwsze powojenne dziesięciolecie, o czym świadczą setki przykładów odnalezionych w dokumentach cenzorskich.

Stan ten zaczyna się nieco zmieniać na fali odwilży. Pod koniec roku 1955 pojawiają się sygnały stopniowego pękania muru milczenia wokół służebnego wobec partii urzędu. Cenzorzy na krótki czas stają się nieco bardziej liberalni, ze sposobu znakowania ingerencji w teksty wnioskujemy, że wielu z nich zaczyna się wahać. Dowodem tego jest chociażby zamieszczona w „Życiu Literackim” obszerna recenzja Flaszena z wydanej w tymże roku trylogii Lema *Czas nieutrącony*. Pierwsza część tego cyklu *Szpital Przemienienia*, miała być wydana w 1949 w oficynie wydawniczej Gebethner i Wolf, ale została wówczas zatrzymana przez cenzurę². Już w pierwszym akapicie Flaszen pyta, dlaczego od ukończenia książki do jej wydania musiało minąć tyle czasu:

Pięć lat (...) tułał się jej maszynopis po biurkach wydawnictw, błagając redaktorów o litość i zrozumienie, zaprzatając mózgi i sumienia recenzentów wewnętrznych. (...) Co tak długo wstrzymywało rękę wydawców od podpisania

¹ AAN, GUKPPiW, sygn. 421/t. II, k. 103.

² O perypetiach Lema z cenzurą na początku jego drogi twórczej pisała obszernie Kamila Budrowska, por. też, *Literatura i pisarze wobec cenzury PRL 1948–1958*, Białystok 2009, s. 148–178.

książki do druku? Jakimiż to straszliwymi jadami podgryzałyby Lem prawomyślność obywatelskiego samopoczucia?

Krytyk nie pisze wprost o działaniach cenzury, ale tak konstruuje wypowiedź, by dla przeciętnego czytelnika pisma literackiego było jasne, że chodzi właśnie o nią. Dalej następuje ironiczny fragment wykreślony przez pierwszego cenzora:

Dom wariatów? Nie ma takich. Dekadenckie rozmiłowanie w psychopatologii, burżuazyjne smaczki, nietypowe. Naruszenie praworządności w organach bezpieczeństwa? Nie było takich. Zamyślenie nad życiem i śmiercią? Intelektualny hamletyzm, Boga nie ma, duszy nie ma, jest tylko walka klasowa, śmierci nie ma. Niepokój światopoglądowy? My wszystko wiemy, świat jest materią, myśl materią wysoko zorganizowaną. Miłość nieszczęśliwa? Nie ma takiej. Socjalizm rozwiązuje wszystkie osobiste problemy człowieka. Moralne znaki zapytania? Nie ma i być nie może, moralność ma wyłącznie kryteria obiektywne. A w ogóle dekadentyzm, psychologizm, naturalizm, formalizm, estetyzm, behawioryzm, mowa pozornie zależna, metafizyczne mętniactwo, zgnilizna burżuazyjna. A po cichu: aj, jakie to dobre i głębokie, a jakie odważne, a jakie psychologiczne analizy! Półgłosem: niebezpieczne, sianie zamętu w głowie prostego czytelnika. Decyzja: nie wydawać³.

Choć i tu autor nie przywołuje konkretnych instytucji, odpowiedzialnych za odrzucenie książki (rekonstruuje jedynie pewien sposób myślenia), cenzor uznał fragment za obraźliwy, tak uzasadniając ingerencję:

Powodem skreślenia powyższego akapitu był ironiczny stosunek do minionego okresu, w którym Flaszen dostrzega tylko pewne złe strony obejmujące nie tylko błędność kryteriów działania oraz form myślenia w dziedzinie literatury i sztuki, ale także i w życiu politycznym. Szkodliwość tego tkwi również w tym, że wszystkie wyliczone błędy Flaszen wypowiada jednym tchem⁴.

Cenzor ów określił ingerencję jako korzystną (zwróćmy uwagę: już nie „konieczną”, lecz jedynie „korzystną”), tymczasem drugi urzędnik kontroli określił ją jako „zbędną-wścibską”. Ostatecznie fragment wycięty zastąpiono złagodzone, choć silnie nacechowanym emocjonalnie:

nie, stanowczo nie rozumiem, jak mogło się stać, że *Czas nieutracony* był problemem wydawniczym. Niby wiem, a nie rozumiem. Nie rozumiem.

³ AAN, GUKPPiW, sygn. 412 (37/7), k. 97.

⁴ Tamże.

Wyparowały niuanse doktrynerskich uzasadnień, został czysty nonsens, zbitka absurdalnych teoretycznych wybiegów. Nie próbujemy rozumieć nonsensu, bo wyjdzie groza. Jeśli go nie rozumiemy – dobrze, to znak niechybny, że sami stoimy już poza nim⁵.

Flaszen wskazuje, jak opóźniony czas wydania wpłynął niekorzystnie na odbiór powieści. Podkreśla, że gdyby ukazała się ona tuż po napisaniu, byłaby sensacją, wpisywałaby się w ówczesną dyskusję o schematyzmie po stronie jego przeciwników. Dziś wydaje się anachroniczną „skamieliną minionego okresu”⁶.

Pół roku później, w czerwcowym numerze „Nowej Kultury” bardzo podobnie konstruuje swą recenzję (tym razem *Rojstów* Konwickiego) Roman Zimand. Już sam tytuł artykułu jest znamieny: *Dlaczego nie osiem lat temu?*. Zimand pisze o tzw. powieściach szufladowych (m.in. wraca do *Czasu nieutraconego* Lema). Rozumowanie krytyka zmierza w kierunku pokazania, na ile powieść *Rojsty* straciła, leżąc w szufladzie, o ile byłaby ciekawsza i aktualna, gdyby została wydana w końcu lat 40. I ten krytyk nie pisze wprost o cenzurze:

„(...) na przykładzie tej książki chciałbym prześledzić, schwytać na gorącym uczynku ów system myślowy, który opóźnił edycję debiutu powieściowego o osiem lat.

(...) podstawowa przyczyna tkwiła właśnie w słowach „wileńska AK”. Praktyczne założenia ówczesnej propagandy brzmiały bowiem tak: o sprawach trudnych nie mówić. Udawać, że nie istnieją. A sprawa ziem litewsko-białoruskich należała na pewno do niełatwych⁷.

Zimand nazywa taką postawę postawą „Wielkiego Strusia” (chowanie głowy w piasek), której założeniem było: pomińmy bolesne sprawy, przeczekajmy, może za 10 lat ten problem przestanie ludzi interesować (gdy czytelnicy „do partyzantki AK na Wileńszczyźnie będą mieli taki sam stosunek, jak do walońskich separatystów”), wtedy pozwolimy wydać *Rojsty*.

Zwróćmy uwagę na sposób, w jaki Zimand przywołuje problem: nie pisze PZPR czy Urząd Kontroli, ale używa ogólników (ówczesny „system myślowy”) lub metafor („Wielki Struś”). Mimo to obu ww. krytykom udaje się zwrócić uwagę na istotny problem: jak kontrola i ingerencje cenzorskie, opóźniając znacznie publikacje kontrowersyjnych tekstów, powodują, że książki nie trafiają w swój czas. Wiele zresztą z tak zatrzymanych pozycji nie ujrzało już później nigdy światła dziennego, gdyż albo jedyne egzemplarze maszynopisów nie wróciły z urzędu,

⁵ L. Flaszen *Czas rzeczywiście nieutracony*, „Życie Literackie” 1955, nr 50 (11 XII), s. 7.

⁶ Tamże.

⁷ R. Zimand, *Dlaczego nie osiem lat temu?*, „Nowa Kultura” 1956, nr 25 (17 VI), s. 6.

albo po latach, gdy już można było je wydać, sami autorzy nie zdecydowali się na to, rozumiejąc, że straciły aktualność.

Niespełna dwa tygodnie po artykule Zimanda na biurko warszawskiego cenzora trafia złożony do „Nowej Kultury” artykuł Andrzeja Brauna o buńczucznym tytule: *Na jakim świecie żyjemy?* Braunowi udaje się zwrócić uwagę na kolejny problem związany z funkcjonowaniem cenzury, która – uniemożliwiając swobodną wymianę poglądów – wypacza dyskusje. I on nie nazywa wprost organów odpowiedzialnych za ten stan rzeczy, odwołując się tym razem do leksyki spirytualnej:

Kto winien? Jakież nieuchwytnie duchy współredagujące teksty naszych artykułów. Jeszcze jeden przykład tajemniczych czarów, niejawnych form dyskutowania i ścierania się różnych poglądów, które w druku przyjmują kształt bałaganu, narzucania cudzego zdania, anonimowej kuchni dezorientującej czytelnika.

Szanowny towarzyszu redaktorze. Chciałbym zaprotestować przeciwko działaniu anonimowych sił, obciążających odpowiedzialnością pisarza, działających pod szyldem jego nazwiska, przeciwko magicznym praktykom bezosobowego uzgadniania. Chciałbym zaprotestować przeciwko zmuszaniu mnie do solidarności ze zdaniem, które nie jest moim zdaniem, do stawiania mnie w trudnej i trącej mistyką sytuacji dyskutowania nie w swoim imieniu. Chciałbym zaprotestować przeciwko krzywdzącym inkryminowanym mi zarzutom, które polegają na nieporozumieniu. W imię praworządności, jawności dyskusji i zdrowego rozsądku⁸.

Początkowo na karcie sprawozdawczej cenzor nie skreślił powyższego, dość mocnego fragmentu, lecz zaznaczył go z boku czerwoną pionową linią, jakby zastanawiał się, czy go nie usunąć. Ostatecznie artykuł przeredagowano, łągając zarówno tytuł (z tytułu sugerującego, że świat, na którym żyjemy, nie jest najlepszy, na tytuł krytykujący już nie rzeczywistość, ale samą politykę: *Polityka – rzecz brudna*). Co ciekawe, po przeredagowaniu artykuł wprawdzie nie mówi już wprost o kaleczeniu dyskusji, za to cenzor godzi się – co niezwykle (jest to prawdopodobnie przeoczenie) na wymienienie nazwy Urzędu, choć pojawia się ona pośród spiętrzenia spirytualistycznych metafor, a biurko cenzora jawi się jako wirujący stolik na seansie wywoływania duchów:

„Gdy rozum śpi, budzą się upiory”. Zrodziło się tych upiorów tak dużo, że w ojczyźnie jest od nich ciemno (...). Pragniemy zerwać z niebezpieczeństwem powtórnego średniowiecza, z mitologią i magią, z inkwizycją, egzorcyzmami,

⁸ AAN, GUKPPiW, sygn. 485 (38/14), k. 56.

stopniami wtajemniczenia i sądami czarownic. (...) Ciągle jeszcze podlegamy tym magicznym paragrafom. Jednym z nich jest zasada, że co nie zostało powiedziane – to nie istnieje. I to powiedziane w sensie publicznym, w d r u k o w a n e . Śmieszne, prawda? – a jednak... To, że chodzi o fakty, że ludzie o tym wiedzą, myślą, mówią między sobą, że wszyscy to widzimy – nie liczy się. W tej polityce myśl ludzka nie jest brana pod uwagę. Milcząco umawiamy się. Robimy z siebie wzajemnie wariatów. (...)

Tak na przykład sądząc z drukowanego obrazu świata (z wyjątkiem książki telefonicznej) można by myśleć, że nie istnieje u nas Urząd Kontroli Prasy, czyli tak zwana cenzura. Duch ten nie zmaterializował się jeszcze i dopiero przez rwący się wątek zdań niektórych artykułów daje pośredni dowód swego istnienia, działania. Jeśli czytelnik znajdzie w tym miejscu niniejszego felietonu ślady jakiegoś braku, niechaj domyśli się – przemówił wirujący stolik i to tak, że nożyce się odezwały. Żarty? – żarty. Ale czyż nie lepiej, zamiast kryć wstydliwie istnienie którejs z naszych instytucji, mających służyć sprawie rewolucji – jawnie przyznać się do nich i jawnie analizować, jak tej rewolucji służą⁹.

Aby wzmocnić swe stanowisko i uspokoić cenzorów, Braun odwołuje się do... Lenina, który przeciwstawił wolną literaturę rewolucyjną – literaturze burżuazyjnej, ukrywającej swą służebną rolę wobec klasy posiadającej. Braun wskazuje na niebezpieczeństwo, jakie niesie ze sobą poszerzanie tematyki zakazanej pod pretekstem zachowania tajemnicy państwowej czy wojskowej. W ten sposób usprawiedliwiane jest milczenie wokół nadużyć, kradzieży, marnotrawstwa, czy przemocy.

Odwoływanie się do ideologów nowej wiary było częstym chwytem publicystów, mającym uspić czujność urzędników kontroli. Podobny zabieg wykorzystał dwa miesiące później Julian Przyboś, który ostrze marksizmu kieruje przeciwko pokutującemu w pismach literackich, mimo odwilży, socrealizmowi i skompromitowanym sloganom. Kiedy czasy domagają się wielkiej publicystyki, nie wystarczą głosy „minimalistycznych naprawiaczy-biurokratów” – pisze poeta – marksizm to „najbardziej krytyczny kierunek badań, nie uznający żadnej stałej prawdy, prócz prawdy ustawicznej zmienności tego, co istniejąc, podlega bez przerwy zmianie”¹⁰. Idee Marksa nie okazały się jednak wystarczającym uzasadnieniem, skoro cenzor „szatkuje” tekst, usuwając z niego fragmenty obnażające już nie tylko władzę cenzorów, ale i ich niekompetencje (fragmenty usunięte zaznaczono skreśleniem):

⁹ „Nowa Kultura” 1956, nr 27 (1 VII), s. 2.

¹⁰ J. Przyboś, *Dyskusja o związku literatów*, „Nowa Kultura” 1956, nr 36 (2 IX), s. 3.

Nakazany, uchwalony, obowiązujący, jedyny! Socrealizm nie był ani kierunkiem, ani – jak powtarzano – metodą twórczą, socrealizm był to polityczno-cenzorski nadzór nad literaturą, był to nacisk (...), taktyka „etapu” – a taktykę określał funkcjonariusz partyjny. Mógł znać się na literaturze i sztuce jak kura na pieprzu, jeśli jednak siedział na wysokiej grzędzie – od jego wyroku nie było odwołania (*Czy zakazany Lament papierowej głowy Andrzejewskiego ukazał się w druku?*).¹¹

Warto zwrócić uwagę, w jakim kierunku poczyniono ingerencje. Cenzor usuwa sformułowanie „funkcjonariusz partyjny” i nie pozwala oskarżać go o niekompetencje. Zastępuje odwołanie do s o b y określeniem o wiele ogólniejszym i bezosobowym, pisząc o „nacisku biurokratycznym” wywieranym na pisarzy „w tym celu, żeby nie poważyli się myśleć inaczej, niż tego wymagała taktyka »etapu«¹². Cenzor jest w stanie pozostawić wiele ostrych zarzutów (tworząc w ten sposób rodzaj wentylu bezpieczeństwa), byle tylko były one skierowane wobec anonimowych, bezosobowych sił, bądź też gdy winą za ingerencje obarczano nie GUKPPIW, ale inne jednostki decyzyjne, o czym świadczy dalszy, pozostawiony fragment artykułu:

W sekcjach nie mogło być dyskusji, obowiązywała owa „szczujność”, tj. czyhanie na wychylenie się nieostrożnego i gromadne potem szczucie na ofiarę. (...)

Sekcje miały więc stanowić pierwszą sieć wielowarstwowego systemu cenzury – drugą było czasopismo związkowe, trzecią – wydawnictwa książek (kolejność bywała czasem odwrotna: co przeszło w książce, utknęłoby w sieci cenzury redakcyjnej), czwartą – Kontrola Prasy. Najważniejszą funkcją redaktora naczelnego było realizowanie zaleceń biura propagandy. Biurokratyzacja literatury stawała się faktem, co gorliwsi pisarze przemieniali się w funkcjonariuszy biura propagandy, oficjalnie i, a mając w rękach zarząd Związku i rozporządzając czasopismami, stawali się nietykalni.¹³

Co ciekawe, kiedy cenzor czyta o kolejnych szczeblach kontroli: sekcje ZLP, wydawnictwo, cenzura redakcyjna, nie jest zaniepokojony. Jednak gdy pojawia się słowo o czwartym szczeblu – kontroli prasy, widząc, że chodzi o urząd, który sam reprezentuje, czujnie zaznacza tenże fragment, podkreślając go czerwonym ołówkiem. Ostatecznie rezygnuje jednak z ingerencji, być może dlatego, iż aluzja nie jest rozwijana, za to Przyboś wraca z oskarżeniami na poziom redakcji pism oraz zarządu ZLP.

¹¹ AAN, GUKPPIW, sygn. 485 (38/14), k. 36–37.

¹² J. Przyboś, *Dyskusja o związku literatów*, s. 7.

¹³ AAN, GUKPPIW, sygn. 485 (38/14), k. 37.

Jesienią 1956 roku pod wpływem ciśnienia wydarzeń politycznych nasilają się postulaty dotyczące wolności słowa, najczęściej wycinane, zwłaszcza z pism – organów partyjnych czy pism literackich – organów ZLP, jak „Nowa Kultura”, z której październikowego numeru znika z artykułu Ważyka fragment zawierający nazwę Urzędu i żądanie zniesienia cenzury¹⁴:

Wolność słowa i swoboda twórczości literackiej nie będą zagwarantowane, dopóki sejm nie wyda przejrzystej ustawy prasowej, zgodnie z duchem Konstytucji, a Urząd KPPiW nie zostanie zniesiony¹⁵.

Postulaty te powtórzyły się i były jednymi z najważniejszych na Zjeździe ZLP na przełomie listopada i grudnia 1956 roku. Wielu uczestników zjazdu wypowiedziało się ostro przeciwko cenzurze. Jak można wnioskować z publikowanych wówczas w prasie komentarzy i sprawozdań ze Zjazdu, cenzura – zostawiając informacje, iż pisarze bronili „wolności słowa”, najczęściej usuwała stwierdzenia, że domagano się zniesienia cenzury i zlikwidowania Urzędu Kontroli. Zatem większą szansę na publikację miały sformułowania ogólne, nie kierowane pod adresem konkretnych instytucji czy osób. Przykładem cykl czterech artykułów publikowanych w „Expresie Poznańskim” w grudniu 1956 roku, poświęconych refleksjom z tegoż zjazdu („Pozjazdowe wrażenia i refleksje” I–IV)¹⁶. W powyższych artykułach, jak i w wielu innych wydanych w drugiej połowie 1956 roku, także po zjeździe, cenzura wielokrotnie dopuszcza do druku sugestie rozszerzenia kontaktów z emigracją, zwłaszcza paryską, oraz domaganie się likwidacji prohibitów. Wycinany jest natomiast konsekwentnie postulat krajowego debitu „Kultury” paryskiej. Zmieniennym przykładem jest artykuł Zbigniewa Florczaka z końca października 1956 roku, w którym cenzor proponuje zastąpić postulat przyznania „Kulturze” debitu na kraj propozycją „szerszego dotarcia do kraju”. Znowu – niby to samo, a jednak sformułowane na tyle ogólnie, że nie wymaga konkretnych zmian ze strony władz. Florczak jawnie pisze o emigracji i środowisku londyńskim i paryskim. Przywołuje nazwiska pisarzy emigracyjnych, odwołuje się do paryskiej „Kultury”, pisze o widocznej zmianie, jakiej uległy stosunki między krajem a emigracją, o swobodniejszej wymianie myśli, często polemice. Nie omieszka przy tym skrytykować tegoż środowiska, wskazując, że nie nadąża ono za zmianami w kraju (bieżącą publicystykę krajową uważa za stojącą wów-

¹⁴ A. Ważyk, *Dyskusja o związku literatów*, „Nowa Kultura” 1956, nr 42 (14 X).

¹⁵ AAN, GUKPPiW, sygn. 485 (38/14), k. 18.

¹⁶ E. Paukszta, *Mądrość i bezkompromisowość* [Pozjazdowe wrażenia i refleksje (I)], „Express Poznański” 1956, nr 287 (5 XII), s. 2; *Największym wrogiem – tandeta*, [Pozjazdowe wrażenia i refleksje (II)], „Express Poznański” 1956, nr 288 (6 XII), s. 2; *Sprawy zawodowe*, [Pozjazdowe wrażenia i refleksje (III)], „Express Poznański” nr 289 (7 XII 1956), s. 2; *Zginęły uprzywilejowania*, [Pozjazdowe wrażenia i refleksje (IV)], „Express Poznański” 1956, nr 290 (8 XII), s. 2.

czas na wyższym poziomie niż publicystyka emigracyjna), ale postuluje debit „Kultury”:

Na początek proponuję, żeby naprawdę dobre pismo polskie wychodzące na emigracji, paryską „Kulturę” dopuścić do kraju oficjalnym wejściem. (...) Jeżeli nasza cenzura wyobraża sobie, że wokoło spraw polskich są jeszcze jakieś rzeczy, które należy zataić — to gruby błąd ze strony cenzury.¹⁷ (...)

Po drugie — zespół „Kultury”, jak się można zorientować, bierze poważnie swoje dydaktyczne zadania i w wypadku uzyskania debitu na kraj [zamiast tego cenzor proponuje: „szerszego dotarcia do kraju”] nie zechce się kompromitować propagandowymi ekscesami.

Wersja po „kosmetyce” cenzorskiej brzmiała mniej „roszczeniowo”:

Na początek proponuję, żeby naprawdę dobre pismo polskie wychodzące na emigracji, paryską „Kulturę” dopuścić do kraju. (...)

[Z]espół „Kultury”, jak się można zorientować, bierze poważnie swoje dydaktyczne zadania i w wypadku szerszego dotarcia do kraju nie zechce się kompromitować propagandowymi ekscesami¹⁸.

Czas odwilży to pojawienie się na łamach czasopism wielu tematów konsekwentnie usuwanych przez cenzurę w poprzednich latach. Także tych „niebezpiecznych”, które wiązały się z funkcjonowaniem GUKPPiW: problemy z przetrzymywaniem wydań książek, tzw. „powieści szufladowe”, konieczność uwolnienia prohibitów, sprawa stosunków między krajem a emigracją, zwłaszcza paryską. Ze względu na zmieniające się wówczas dość często instrukcje cenzorskie, wynikające z rozluźnienia politycznego, wiele cennych głosów mogło się pojawić, zwłaszcza w drugiej połowie 1956 roku. Taka polityka cenzorska była zresztą charakterystyczna także w kolejnym roku odwilży, choć realizowana nie zawsze konsekwentnie, aż do 1958, kiedy to cenzura zaostrza się zdecydowanie i wycina wszelkie postulaty dopuszczone do głosu na fali odwilży.

¹⁷ AAN, GUKPPiW, sygn. 485 (38/14), k. 22.

¹⁸ Z. Florczak, *Znowu — wokół emigracji*, „Nowa Kultura” nr 44 (28 X 1956), s. 2.

Marzena Woźniak-Łabieniec

Censorship as a taboo during political “thaw”

(summary)

During the political “thaw” of 1955–1956 the magazines circulated in the People’s Republic of Poland started to include themes which previously had been banned. One of those focused on the existence of censorship and its activities (Main Office of the Control of Press, Publications and Shows). Journalists wrote about books banned by the censorship, prohibited publications and black-listed writers, whose books were removed from libraries and destroyed. The situation changed in 1958 when once again writing about the existence and activities of the censorship was forbidden.